

MONIKA BIAŁKOWSKA

SIOSTRY

o nadużyciach
w żeńskich klasztorach

Wydawnictwo WAM

© Wydawnictwo WAM, 2023

Opieka redakcyjna: Sławomir Rusin
Redakcja: Anna Śledzikowska
Korekta: Krzysztof Bernaś, Anna Adamczyk
Projekt okładki: Marcin Jakubioneł
Skład: AD VERBUM

ISBN: 978-83-277-3585-0

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260
www.wydawnictwowam.pl

Druk: READ ME • Łódź
Publikację wydrukowano na papierze Artis white 70g vol. 2.0

Wstęp

„Żaden ludzki interes ani egoizm nie będzie w stanie zerwać świętych więzów, zaciągniętych u stóp ołtarza. Jeśli zaś nastąpi wyżebrane ich zerwanie, to stanie się to wyłącznie z twojej winy”*. Ten cytat z książki, która w wielu miejscach służy lub jeszcze do niedawna służyła do formacji zakonnej, budzi mój głęboki sprzeciw.

Tak jak w małżeństwie winą za rozpad nie leży po jednej stronie, tak nie można mówić, że odejście z zakonu pozostaje zawsze wyłącznie winą odchodzącej osoby. Mąż może zdradzać, może bić, może znęcać się nad żoną psychicznie albo krzywdzić dzieci. Uciekająca kobieta nie jest wtedy winna. Została zdradzona. Zawiedziono jej miłość i oddanie.

Chciałam, żeby ta książka była właśnie opowieścią o kobietach, które pokochały Jezusa i nadal Go kochają. O kobietach, które pokochały życie zakonne i nadal mówią o nim dobrze. Czasem

* P. Ceccarelli, *Savoir-vivre siostry zakonnej*, tłum. J.E. Bielecki, Kraków 1985.

SIOSTRY

za nim tęsknią. Nie żałują spędzonych w ten sposób lat. A jednak ich miłość została zdradzona. Nie była przyjęta, nie znalazły w zgromadzeniach tego, czego szukały. Spotkały je za to upokorzenia, odrzucenie, niesprawiedliwość, przemoc.

Nie doбираłam specjalnie moich rozmówczyń. Nie robiłam żadnej selekcji. Próbę z czystym sumieniem mogę uznać za absolutnie losową. A jednak w tych jedenastu rozmowach zderzyłam się niemal z każdym złem, jakie człowiek może zrobić drugiemu człowiekowi.

Moje rozmówczynie mają od dwudziestu paru do siedemdziesięciu paru lat. W zgromadzeniach przeżyły od roku do niemal ćwierć wieku. Wszystkie są po terapii. Nie ma w nich gniewu. Nie przemawia przez nie rozgoryczenie. Niektóre z nich ułożyły sobie życie, mają rodziny, skończyły studia, są spełnione i szczęśliwe. Zdecydowały się ukryć imiona i nazwiska. Zdecydowały się ukryć nazwy zgromadzeń: żeby nie stygmatyzować tych, które pozostały. Same na co dzień nie wracają do tematu, zamknęły tamtą historię. Żadną miarą nie można więc uznać, że w tej książce wyruszają z wendetą. Przeciwnie: powtarzają, że życie zakonne może być piękne.

Wierzę im. Sama spotkałam przecież fantastyczne siostry zakonne. Wiele jest mądrych, dojrzałych i świętych siostr, które robią doskonałą robotę. Nie wolno wszystkich mierzyć jedną miarą, nie wolno uznać, że wszystkie mają takie samo doświadczenie.

Istnieją jednak w zakonnym życiu przestrzenie, w których szczególnie łatwo o nadużycia i krzywdę. Jeśli nie zaczniemy o nich mówić, będą istnieć nadal i wciąż będą prowadzić kolejne kobiety na terapię albo na skraj samobójstwa.

Tym właśnie przestrzeniami trzeba się dziś zająć – nie z niechęci do życia zakonnego, ale z troski o jego przyszłość, świętą i wolną od nadużyć. Z troski o kobiety, które to życie wybrały – o ich wolność, ich bezpieczeństwo, ich zdrowie fizyczne, psychiczne i duchowe. A skoro doświadczenie mówi, że trudno zacząć diagnozę od wewnątrz, zaczynamy stawiać ją my. Z samego serca Kościoła i z miłością do niego.

Nie miałam marzeń

Irena

W zgromadzeniu sześć lat. Druga dekada XXI wieku

Przedemną siedzi elegancka kobieta. Trudno się domyślić, że była kiedyś siostrą zakonną.

Dziękuję. Ubieram się elegancko, bo na co dzień pracuję w biurze. Przyzwyczaiałam się do tego.

Kiedy podjęłam decyzję o wstąpieniu do zgromadzenia, miałam piętnaście lat. Wydawało mi się wtedy, że muszę zacząć się ubierać skromnie, najlepiej niechlujnie i w trzy swetry. Słyszałam, że mamy wyglądać tak, żeby patrzący na nas mężczyźni nie mieli nieczystych myśli. W liceum zdecydowałam, że nie będę się malować. To było umartwienie. Zaczęłam się ubierać wyłącznie na czarno. Ważyłam też dużo więcej, w zakonie mocno schudłam. Straciłam piętnaście kilogramów, bo chorowałam, miałam jadłowstręt. Ale też dopiero tam paradoksalnie zaczęłam odczuwać potrzebę piękna. Dopiero tam odkrywałam, co to znaczy być kobietą.

Jak się odkrywa kobiecość w zakonie?

Każda z nas ma pewnie swoją własną historię. Ja nie czułam się akceptowana w domu, zwłaszcza jeśli chodzi o wygląd. Słyszałam negatywne komentarze. Wolałam się zakrywać. Nikt mi nie pomógł, nie powiedział, jak mogę się ubierać, słyszałam tylko, że coś jest brzydkie. Wychowałam się z samymi braćmi, tata ma bardzo męski zawód. Było mi więc bliżej do chłopaków i chciałam za imponować tacie. Zachowywałam się jak chłopak, bycie kobietą wydawało mi się słabe i niefajne. Do tego przyszedł trudny czas dojrzewania i środowisko Kościoła, które też zajmowało się bardziej pięknym wnętrzem niż tym, co jest na zewnątrz. Podkreślanie kobiecości było ujmą. Wydawało mi się, że mam być czymś w rodzaju chodzącej duszy, bez płci.

Kiedy wstąpiłam do zakonu i zaczęłam żyć wśród kobiet, w większości starszych ode mnie, zobaczyłam, jak one o sobie dbają. Przywiozłam zapas koszulek w rozmiarze XXL, żeby nie było widać moich kształtów, a inne dziewczyny miały normalne bluzki, normalne spódnice. Patrzyłam z przerażeniem: jak tak można? Ale zaczęłam się uczyć, że bycie kobietą wcale nie jest złe – i że ja też jestem kobietą! Odkrywanie kobiecości było wpisane w zakonną formację. Zrozumiałam, że kobiecość nie jest moim wrogiem i nie prowadzi mnie na manowce grzechu; została stworzona przez Boga i jest piękna.

Oczywiście w zgromadzeniu nie mogłam kobiecości wyrażać strojem. Zaczynało do mnie też docierać, że nie będę mamą. Nie mogłam się malować, zadbać o paznokcie, golić nóg. Te ograniczenia sprawiły, że zaczęło mi czegoś brakować. Odkryłam, że jednak mam takie potrzeby.

Jak wygląda „dbanie o siebie” siostr zakonnych? Coś poza kremem do twarzy wchodzi w grę? Ani paznokci nie robią, ani włosów nie farbują...

To nie chodzi o to, co się dzieje na zewnątrz, z ciałem. Chodzi na przykład o pozwolenie sobie na okazywanie emocji. Pamiętam, że kupiłam sobie wtedy kurtkę, która nie była wielkim kokonem do ukrycia siebie, ale była dopasowana. Oficjalnie na to nie pozwalano, ale wiele siostr miało perfumy. Sam fakt, że się ładnie pachniało, był już sposobem na to, żeby poczuć się kobietą. Albo piękne przygotowanie stołu. U mnie w domu się o to nie dbało, więc zauważałam, kiedy siostry ustawiały świeże kwiaty, rozkładały ładne obrusy. Uczylałam się robić bukiety do kaplicy. Miałyśmy warsztaty czy dni skupienia, które dotyczyły duchowego aspektu macierzyństwa. Choć na mnie chyba najbardziej działało to, czego mieć nie mogłam. Wtedy odkrywałam, że tego właśnie chcę. Bo jestem kobietą.

Wspomniałaś, że o pójściu do klasztoru zdecydowałaś jako piętnastolatka. Ale mówiłaś też o domu z męskim porządkiem. Jak dziś na to patrzysz? To było powołanie czy może próba wypełnienia deficytów nastolatki?

Sama cały czas szukam odpowiedzi na to pytanie. Inaczej to wyglądało z perspektywy nastolatki, inaczej wygląda dzisiaj. Decydujące w wyborze takiej właśnie drogi było to, że trafiłam na rekolekcje i tam się nawróciłam. Poszłam z koleżankami przypadkiem, bo ktoś nam powiedział, że będą wywoływać duchy. Bardzo nas to zainteresowało. Jeszcze zanim spotkanie się zaczęło,

SIOSTRY

robiłyśmy sobie żarty. Koleżanka chciała, żeby na identyfikatorze wpisano jej Rydygiera. Nie zamierzałam być gorsza, więc podałam imię Faustyna. Nie wiem dziś, skąd mi się to wzięło.

W trakcie tych rekolekcji odkryłam Boga, który jest, który mnie kocha i który chce mojego dobra. Wreszcie gdzieś poczułam się ważna i piękna. Zaczęłam się dużo modlić. Często chodziłam do kościoła. Kupiłam sobie *Dzienniczek* siostry Faustyny. Chodziłam po szkole z wielkim krzyżem na szyi. Wydawało mi się, że na tym polega wiara. I to nie było na pokaz. To naprawdę było dla mnie ważne, bo świadomie przełamywałam lęk, zmuszałam się do takich rzeczy, żeby pokazać, że się nie wstydzę Jezusa.

Myślę, że pociągało mnie to, że wreszcie dla kogoś poczułam się piękna i ważna. Potrzebowałam takiej akceptacji. Nie chciałam tego spłycić i powiedzieć teraz, że poszłam do zgromadzenia za własną potrzebą miłości. Nie. To było pójście za Bogiem, który mówił mi, że mnie kocha i któremu chciałam odpowiedzieć miłością.

Kiedyś w kościele przeglądałam przed mszą książeczkę do nabożeństwa i znalazłam w niej rady ewangeliczne. Przeczytałam je i pomyślałam: wow! Ubóstwo, czystość, posłuszeństwo. Panie Boże, chcę tym żyć, jak to zrobić? Przecież jeśli będę miała rodzinę, to będę musiała zdobyć pieniądze, żeby kupić coś dzieciom, żeby zadbać o dom. Ja się na to nie piszę. I wtedy podjęłam decyzję, że idę do zakonu. Podjęłam ją tam, w tym kościele, tak jakby była na amen. I się jej trzymałam. Poszłam do spowiedzi. Powiedziałam o tym księdzu, a on odparł, że mam już teraz zacząć żyć jak zakonnica. Dziś myślę, że mówienie takich rzeczy

piętnastolatce było odważne. Wtedy jednak koniecznie chciałam go posłuchać. Nie miałam wprawdzie pojęcia, jak żyją zakonnice, ale wymyśliłam, że na pewno często chodzą do spowiedzi. Zaczęłam się więc spowiadać co dwa tygodnie.

Czułam wtedy, że Kościół to jest moje miejsce. Byłam tam akceptowana i kochana. Mogłam w nim realizować swoje powołanie do świętości. Wiedziałam, że to, co robię, jest ważne. Widziałam też, że Bóg daje mi znaki, które czytałam jako wskazówki.

Nie przestałam zresztą dostrzegać tych znaków po wstąpieniu do zgromadzenia. Otrzymywałam raczej kolejne potwierdzenia, że to właśnie jest moja droga.

Słyszałam też, że można mieć powołanie do bycia w zakonie tylko przez jakiś czas. To jest dla mnie trudna kwestia. Myślę, że to nie był przypadek i że Bóg rzeczywiście dawał mi znaki i mnie tam prowadził, ale przecież już mnie tam nie ma. Owszem, byłam ostrożna. Staralam się sobie niczego nie wmawiać, nie nadinterpretować. Ale też pociągało mnie takie życie, jego radykalizm. Młodzi w ogóle mają skłonność do radykalizmu, a mój wyrażał się w ubóstwie, posłuszeństwie i czystości. I wydawało mi się wtedy, że kiedy wstąpię do zakonu, to choćbym miała całe życie obierać ziemniaki, będę szczęśliwa. Szybko się okazało, że potrzebuję czegoś więcej niż obierania ziemniaków.

Dlaczego wybrałaś to konkretne zgromadzenie?

Nie znałam żadnych zgromadzeń. Stwierdziłam, że wybiorę takie, które ma Jezusa w nazwie, bo te maryjne na pewno są nudne. Potem

SIOSTRY

weszłam na stronę, gdzie były zebrane informacje o zakonach i szukałam takiego, które się zajmuje bezdomnymi lub ubogimi dziećmi. Wszystkie z Jezusem w nazwie sprawdzałam pod kątem tego, czy mają coś takiego w charyzmacie. I po kilku godzinach, kiedy byłam już bardzo zmęczona, wreszcie trafiłam. Poczułam ciepło w sercu, wiedziałam, że to jest to. Chciałam skontaktować się z siostrami. Na stronie podane były trzy z nich i wybrałam tę z imieniem, które najmniej kojarzyło mi się ze staruszką. Napisałam, że mam piętnaście lat, że chcę wstąpić do zgromadzenia, i zapytałam, czy mogę to zrobić od razu, zanim skończę osiemnaście lat. Chciałam tam iść natychmiast, zaraz po gimnazjum. Siostra odpisała, że owszem, to jest możliwe, ale trzeba mieć zgodę rodziców, ale w ogóle najlepiej by było, gdybym jednak najpierw zrobiła maturę. Dodała, że napisze więcej, kiedy wróci z wycieczki z dziećmi.

Byłam szczęśliwa, uznałam, nie wiedzieć czemu, że zgodę rodziców na pewno dostanę, a matura jest mi niepotrzebna. Ale siostra nie odpisała mi przez następne dwa lata.

To mnie nie zniechęciło. Czekałam. Powiedziałam rodzicom o swoich planach, co zresztą skończyło się potężną kłótnią. Dostałam warunek: nie mam co myśleć o zgromadzeniu, jeśli nie zrobię matury. Zawzięłam się. Skończyłam liceum, choć niewiele z tego pamiętam i nie lubiłam tego czasu. Wychodziłam z założenia, że ja się będę modlić, a Pan Jezus niech się martwi, żebym wreszcie miała to za sobą.

Dziś myślę, że najlepiej byłoby, gdyby taka decyzja podejmowana była już po studiach, przez człowieka z większym doświadczeniem. To by mi pomogło lepiej sobie radzić z wieloma trudnościami

w czasie formacji zakonnej. Młodzi ludzie są bardziej podatni na manipulację, nie znają swojej wartości, nie potrafią chronić siebie. Ale też nie żałuję, że wstąpiłam do zakonu tak wcześnie. Przy moim uporze i zawziętości czekanie niczego by nie zmieniło.

Zdałaś maturę. Wstąpiłaś. Była pełnia szczęścia i miesiąc miodowy?

Miesiącem miodowym bym tego nie nazwała, ale rzeczywiście dobrze to pamiętam. Większość rzeczy rozdałam, chciałam zamknąć wszystkie sprawy i zacząć nowe życie. Powiedziałam rodzicom, że musimy iść razem na mszę. Potem mnie odwieźli. Siedzieliśmy w małym refektarzyku, kiedy przyszła mistrzyni postulatu. Mama była przerażona, a tata wychwalał mnie, jak mogł, że ładnie czytam, że wygrałam jakiś konkurs – jakby się bał, że od razu zagonią mnie do mycia podłóg. Wiedziałam, że chce dobrze, ale było mi strasznie głupio.

Spodziewałam się, że kiedy już będę w klasztorze, pojawi się jakaś świetlista łuna, aureola, a było całkiem zwyczajnie. Siostry dały mi jakieś czarne spódnice, zaczęła się formacja i pierwsze zderzenie z rzeczywistością. Zobaczyłam, że nie są święte. Od początku i ja, i inne dziewczyny słyszałyśmy, że mamy się zastanowić, czy aby na pewno chcemy tam być, bo jak się nam nie podoba, to nikt tu nas na siłę nie trzyma. To było dla mnie szokujące. Wydawało mi się, że brakuje w tym szacunku dla człowieka, dla jego wyboru, dla jego drogi.

Ale słuchałyśmy tego nieustannie. Byłyśmy młode. Chciałyśmy być siostrami zakonnymi. Chciałyśmy żyć w posłuszeństwie.

SIOSTRY

Odnosiłyśmy wrażenie, że siostronom na nas nie zależy, więc zaczynałyśmy się bać i robić wszystko, żeby nas nie wyrzuciły. Wszystko, co nam kazano. Nie ma znaczenia, czy to było przyjemne, czy nie, logiczne czy pozbawione sensu. Chciałam być w zgromadzeniu, więc się nie zastanawiałam, tylko dostosowywałam do sytuacji. Spełniałam oczekiwania.

Strach był wszechobecny. W normalnym życiu też często się boisz, denerwujesz, ale masz odskocznię, przyjaciół, dom. W zakonie tego nie ma. To jest hermetyczne środowisko, całe przeniknięte strachem.

Ciągle słyszałam o „woli Bożej”, wszystkie siostry to słyszą. Wtedy pierwszy raz zaczęłam się zastanawiać, czym ona jest. I czym jest posłuszeństwo, jeśli wypełniam zadania tylko dlatego, że się boję. Nie ma w tym aktu oddania się Bogu. Jest strach przed przełożoną i przed tym, że wyrzuci mnie ze zgromadzenia.

Dużo się wtedy modliłam. Pytałam Boga, jak to jest – i mówiłam, że jeśli mam się wciąż bać, to nie chcę być dłużej w zgromadzeniu. I przyszedł taki dzień, kiedy po prostu przestałam się bać. Nie przejęłam się kolejną uwagą mistrzyni, zażartowałam. Kiedy strach odpuścił, zrobiło się łatwiej i miałam większą pewność co do swojej decyzji.

Myślę, że w Kościele zapomina się często o tym, że przełożёнство jest służbą, a nie władzą. Wolimy myśleć o nim jak o władzy, na dodatek takiej, która pozwala upokarzać tych, którzy zadają pytania i wyrażają wątpliwości. Pewnie w różnych miejscach

różnie to wygląda, ale tam, gdzie byłam, każda próba rozmowy, dyskusji, poszerzenia horyzontów, pokazania innej możliwej drogi była traktowana jako brak posłuszeństwa. A przecież siostry chcą być posłuszne – tylko że to nie odbiera im prawa do bycia wysłuchanymi.

Siostry pytały mnie przed ślubami, czy chcę iść na studia. W grę wchodziła tylko teologia. Odpowiedziałam, że zamiast uczyć się o Panu Bogu z książek, wolałabym pracować z dziećmi. Dwa miesiące później przełożona oświadczyła mi, że jednak będą studiować. Panowała wtedy w zgromadzeniu mentalność, według której trzeba kazać robić siostronom właśnie to, czego nie lubią i w czym się źle czują. W imię ślepego posłuszeństwa. I w ramach umartwienia, żeby złożyć z siebie jeszcze doskonalszą ofiarę, masz iść na studia, do katechezy, do hospicjum.

Ale przecież wtedy nie tylko się umartwiasz. Robisz też krzywdę ludziom, z którymi pracujesz, jeśli traktujesz ich jak dopust Boży. Nie chciałabym, żeby ktokolwiek zajmował się mną nie z miłości, ale żeby siebie udręczyć...

To sobie wyobraź dom rekolekcyjny. Przyjeżdżają tam duże grupy ludzi. A w kuchni siedzi siostra, która nigdy w życiu nie gotowała, nie umie tego robić, ale za to skończyła ASP i pięknie maluje. Rodzice próbowali ją ratować i kupili jej kuchenne sprzęty, żeby jakoś dała tam sobie radę. Ale siostry powiedzą: „wola Boża”. Nie wiem, nie rozumiem, czemu to miało służyć.

Odczuwałam ogromny dysonans, kiedy słyszałam o „woli Bożej”. Rozmawiałam kiedyś z jednym z biskupów i zapytałam go,

SIOSTRY

jak on rozumie wolę Bożą i jej odczytywanie. Wyjaśnił mi, że jeśli wysyła księdza tam, gdzie ksiądz jest szczęśliwy i ludzie są z nim szczęśliwi, to wtedy wie, że taka była wola Boża. Powiedziałam mu, że w zakonie tłumaczono nam to odwrotnie: wola Boża jest tam, gdzie jest więcej bólu i cierpienia. Nic nie odpowiedział.

Z „wolą Bożą” kojarzy mi się też kwestia telefonów. Pracowałam wtedy w szkole podstawowej. Był tam chłopiec z ADHD. Któregoś razu w trakcie lekcji musiałam do niego wezwać pedagoga. Nie mogłam wyjść i zostawić dzieci, to była druga klasa. Musiałam poprosić ucznia, żeby pożyczył mi telefon. To było upokarzające. Siostry mówią w takim momencie, że trzeba oddać to cierpienie Panu Bogu. Nie! To nie jest cierpienie od Pana Boga, to jest zwykła ludzka głupota, czyjś wymysł. Żyjemy w XXI wieku i kiedy ktoś studiuje i pracuje, telefon jest mu niezbędny. U nas telefony mieli tylko przełożeni.

Pojechałam kiedyś na warsztaty do Białegostoku, musiałam przejechać pociągiem całą Polskę, dziesięć godzin w podróży. Siostry miały mnie tam odebrać. Ale pociąg spóźnił się dwie i pół godziny, bo samobójca wszedł na tory. Byłam w Białymstoku przed 23. Nie miałam pieniędzy. Nie wiedziałam, dokąd iść. Nie miałam telefonu. Prosiłam obcych ludzi, żeby pozwolili mi zadzwonić. Siostry nie odbierały. Co powinnam zrobić, żeby pozostać dobrą siostrą? Przyjąć to w duchu posłuszeństwa. Albo uznać, że to jest „wola Boża”. Znów „wola Boża”.

Patrzyłaś na to. Widziałaś, że wiele zasad jest śmiesznych albo że są bez sensu. Jak wtedy myślałaś o swojej przyszłości?

Że to minie? Że się przyzwyczaisz? Że ciebie jedną akurat potraktują inaczej?

Do pewnego momentu, na początku formacji, myślisz, że kiedy pójdziesz do nowicjatu, to będzie inaczej. Że pójdziesz do junioratu i będzie inaczej. Potem że po ślubach wieczystych będzie łatwiej. Że kiedy zostaniesz przełożoną, to będzie łatwiej. To jest ten sposób myślenia: trzeba zacisnąć zęby, przetrwać, później musi być lepiej.

Szybko się jednak okazało, że to nie działa. Czekanie na to, że będzie lepiej, nie jest satysfakcjonujące. Liczenie na to, że może później będzie dobrze, nie jest dobrą motywacją do życia w zakonie. Rozmawiałam z jedną z siostr tuż przed odejściem. Próbowła mnie przekonywać, że ona tak samo się czuła, że po wieczystych będzie... Zapytałam: „I co? Jest siostra po ślubach wieczystych, jest lepiej?”. Wtedy w słuchawce zapadła cisza. Nie musiałam już wiedzieć niczego więcej. Próbowала dopowiadać, że „coś tam się zmienia”, ale to „coś tam” było dla mnie niewystarczające. Co bym miała napisać, motywując prośbę o dopuszczenie mnie do ślubów wieczystych? Że jakoś przetrwałam i może kiedyś będzie lepiej? Wiedziałam, że wiele się nie zmieni, a muszę brać wszystko w pakiecie: i pracę z dziećmi, którą bardzo lubiłam, i konwenanse, których nie mogłam znieść. Nie miałam w sobie optymizmu czekania na zmianę, która nie przyjdzie. Jeśli ktoś wierzy, że ona się pojawi, to być może podejmie inną decyzję. Dla mnie innowacja pod tytułem „można chodzić bez skarpet” to było za mało. Już wiedziałam, że ślubów wieczystych nie złożę, bo nie jestem w stanie zgodzić się na coś takiego na całe życie.

Opowiesz, czego nie mogłaś znieść? Na czym budowałaś swoje odkrycie, że długo tak się nie da żyć?

Szła na to wiele małych sytuacji. Była na przykład w klasztorze starsza siostra chora na raka. W trakcie rekreacji dostałam polecenie, żeby sprawdzić, czy u niej wszystko dobrze, i zaraz wrócić. Siostra poruszała się z balkonikiem, ale miała jeszcze sporo werwy i mocny charakter. Była bardzo uparta. Lubiła mnie. Kiedy do niej przyszedłam, zaczęła się rozbierać, myć zęby. Bałam się, że się zaraz przewróci, zostałam więc z nią tak długo, ile potrzebowała. Pomogłam jej się umyć i włożyć pizamę. Nie wiem, ile to trwało, może godzinę? I dostałam potężny ochrzan za to, że unikam wspólnoty, że nie chcę razem przeżywać rekreacji – i mam się zastanowić, czy w takim razie w ogóle chcę być w zakonie. Byłam w szoku. Miałam osiemnaście lat. Marzyłam o zakonie od dawna. Nie miałam tam nikogo bliskiego, a ktoś mnie ochrzaniał za to, że pomogłam staruszce. Ale to był początek. Wtedy jeszcze się bałam. Nie umiałam zapytać, dlaczego żadna siostra nie sprawdziła, czy coś złego mi się nie stało, że nie wracam. Przepraszałam i prosiłam o pokutę. Za unikanie wspólnoty.

Kiedyś też podejrzewano mnie o romans. To również był dla mnie szok. W nowicjacie miałyśmy duży dom podzielony na dwie części ogrzewane dwoma piecami. Piec w naszej części się zepsuł i miałyśmy tylko zimną wodę. Ciepła była w jednym pokoju, ale obok mieszkał pan Władek. Rozmawiałam z nim czasem, tak jak rozmawiasz z panią w sklepie, którą codziennie spotykasz – zwyczajnie, po ludzku. Tamtego dnia chciałam się wykąpać, więc poszłam do pokoju z ciepłą wodą, nie w zakonnej sukience,

ale w halce i jakiejś bluzce. Kiedy byłam już blisko, usłyszałam, że ktoś idzie, więc przestraszona, schowałam się za drzwiami. Kiedy zobaczyłam, że to siostra, wyszłam i wyjaśniłam, że chciałam się umyć. I wydawało mi się, że to będzie koniec tej historii. Następnego dnia przełożona wezwała mnie na rozmowę. Zaczęła mnie oskarżać: że co ja sobie wyobrażam, że wyczekuję pod drzwiami faceta, że jak tak można! Kazała mi iść do kaplicy, zrobić rachunek sumienia z czystości i przyjść, żeby się przed nią obwinić. Pamiętam, że wyłam wtedy jak bóbr. Bolało nie tylko to, że siostra, która widziała tę sytuację, na mnie naskarżyła. Kiedy naprawdę żyjesz w czystości, naprawdę się starasz, a ktoś stawia ci taki zarzut, to jest strasznie trudne. Zamiast się wtedy oskarżać, powiedziałam, że nie mam sobie nic do zarzucenia. Dla mnie to był koniec tematu.

Moja mistrzyni lubiła te dziewczyny, które traktowały ją jak mamę. Chciała być mamusią, która przytuli, pocieszy. Ja nie potrzebowałam mamy. Potrzebowałam mistrzyni. Nie chciałam, żeby mnie przytulała po tym, jak na mnie nawrzeszczy. Pragnęłam się rozwijać duchowo, a z tym było trudno, bo nacisk położony był jednak na pracę. Kiedy już po nowicjacie byłam na placówce, miałam w szkole ponad etat katechezy, jednocześnie studiowałam zaocznie i oprócz tego pomagałam siostronom w kościele prowadzić grupy. Miałam też obowiązki domowe. Był taki dzień, że w natłoku obowiązków nie zdążyłam się pomodlić, więc poszłam jeszcze wieczorem do kaplicy. I na to przyszła przełożona i zaczęła krzyczeć: że co tu robisz, że musisz się położyć,

SIOSTRY

że o 22 powinnam już spać. Bo taki jest przepis, taki jest regulamin. Pomyślałam wtedy, że jeśli tak ma być w zakonie, że ktoś ma mi za złe, że się modłę wieczorem, bo w dzień pracuję i nie mam na to czasu, to dla mnie to nie jest zakon. Mnie to się w głowie nie mieści. Wtedy podjęłam decyzję, że nie będę tak żyć.

Byłam wówczas w trakcie ślubów czasowych, ale wiedziałam, że nie będę czekać, aż one wygasną. Poszłam do przełożonej, żeby powiedzieć o swojej decyzji. Pierwsze, co od niej usłyszałam, to: „Tylko nie licz na to, że będę cię zatrzymywać!”. Powiedziałam, że wcale na to nie liczę. Oczekuję tylko, że pomoże mi załatwić to formalnie, w końcu od tego jest przełożona.

To, co działo się potem, dużo mnie kosztowało. Zostałam z tą decyzją sama. Wieść, że chcę odejść, szybko rozeszła się po zgromadzeniu. Zaczęły się telefony, siostry pytały, czy jestem tego pewna. Byłam pewna i wiedziałam, że to się nie zmieni, ale też było dla mnie ważne, że coś dla nich znaczyłam, że chcą mnie zatrzymać. Zostawiałam tam przecież kawałek siebie i chciałam poczuć, że ktoś to docenia. Potem przełożona zapytała, czy chcę takich telefonów. Co miałam odpowiedzieć? Że tak, niech siostry do mnie wydzwanają i proszą, żebym została? Powiedziałam, że nie. Telefony się skończyły, siostrom zabroniono do mnie dzwonić.

Nie byłaś sama. Odejścia z zakonu to nie są pojedyncze przypadki.

Pamiętam, że siostry pytały o to matkę generalną. Usłyszały, że teraz jest moda na odchodzenie. „Moda”, rozumiesz? Taka odpowiedź świadczy o braku refleksji nad tym, co się dzieje

w zgromadzeniu. Jest łatwą wymówką. Złe są te, które odchodzą, to wyłącznie w nich jest problem. Bo nie chcą być posłuszne. To na nie zrzucana jest cała odpowiedzialność. Jednocześnie siostry nie są przez to świadome, że tkwią w kryzysie wspólnotowości. Mają być siostrami, a sobie nie ufają. Nie mają jak zbudować więzi zaufania. Kiedy powiedziałam mistrzyni, że chcę odejść, odparła tylko: „Nie zostaw po sobie smrodu”. Amen. To jest ważne w zgromadzeniu. Żadne problemy nie mogą wyjść na zewnątrz. Nikt nie może się dowiedzieć, że to nie jest życie idealne. Wiesz, co robią siostry, które naprawdę tej fikcji nie wytrzymują? Uciekają. Były sytuacje, że uciekały w nocy przez okno. Nie miały nawet siły, żeby zadzwonić, żeby porozmawiać z matką, żeby zrobić to jawnie. I ja to rozumiem. Kiedy kumulują się w tobie emocje, kiedy wiesz, że ze wszystkim jesteś sama, wydaje ci się, że jedyną drogą jest ucieczka. I nikomu się z tym nie zdradzisz, bo nikomu nie ufasz, bo siostry mają długie języki, bo jak powiesz jednej, to za chwilę będą wiedziały wszystkie. A nie chcesz, żeby całe zgromadzenie rozmawiało o twoich osobistych sprawach.

Żałujesz, że tak to się potoczyło? Że wstąpiłaś do zgromadzenia?

Tyle lat spędzonych w zakonie w jakiś sposób stygmatyzuje. Mam poczucie, że straciłam tam swoje najlepsze lata. Że nie doświadczyłam wielu rzeczy. Że nie miałam tego, co mieli moi rówieśnicy: studiów, przyjaźni, imprez, związków. Ale czy to był zupełnie zmarnowany czas? Tak nie mogę powiedzieć. Mogłam się tam rozwijać w kierunku, którego wcześniej nie widziałam.

SIOSTRY

Nie lubię mówić o zmarnowanym czasie. To był po prostu inny czas, z zupełnie innymi doświadczeniami. I on też się składa na historię mojego życia.

Nie żałuję, że wstąpiłam. Ale żałuję, że tak długo tam zostałam. Odchodziłam w zasadzie bez emocji. Nawet nie wiem, czy z ulgą. Byłam potwornie zmęczona. Bałam się i czułam ciężar tego, co jest przede mną. Wiedziałam, że w domu rodzinnym nie będzie lekko. Na dodatek była pandemia, wszystko było zamknięte. Ulżyło mi, że cały ten zakonny grajdołek, całe to towarzystwo mam już za sobą. Ale też wiedziałam, że to, co przede mną, to nie jest raj.

Od piętnastego roku życia widziałam siebie wyłącznie jako siostrę zakonną. Tak budowałam całą swoją tożsamość. Najważniejsze więc nie było pytanie o to, co mam robić po odejściu, ale o to, kim w ogóle jestem. Byłam siostrą zakonną. Wszystkie decyzje były warunkowane właśnie tym. I to wszystko straciłam. Nie jestem siostrą – więc kim?

Bycie w zgromadzeniu jednak jakoś mnie ukształtowało. Tyle, że wykoślawiło obrazy i Pana Boga, i Kościoła. Chodzę teraz na zajęcia z teologii, kończę studia, słyszę o pięknie Boga, ale Go nie widzę. Pewnie potrzebuję czasu, żeby to sobie w głowie poukładać, żeby zbudować kolejne, już dobre, doświadczenia.

Nie wiem, czy ktoś ci to mówił, ale z dziewczynami, które też były w zakonach, odkrywamy w trakcie rozmów, że żadna z nas nie miała marzeń. Wszystkie straciłyśmy zdolność marzenia. Kiedy występowałam, chciałam ją odzyskać. Zacząć nazywać to, czego chcę. Musiałam nauczyć się wybierać, co będę jeść, bo wcześniej przełożona robiła zakupy i jadłyśmy to, co ona kupiła.

Na początku nie potrafiłam nawet rozpoznać, na co mam ochotę. Jadłam nadal tak, jak w zakonie, głównie kanapki z serem. Nie potrafiłam kupić sobie ubrań. Nie wiedziałam, czy wyglądam w nich odpowiednio.

Dobrze zaczęłam się czuć dopiero rok, może półtora roku po odejściu. Nie jem już kanapek z serem. Marzę o tym, żeby podróżować. Mogę nawiązywać relacje. Mogę utrzymywać kontakt z tymi ludźmi, na których mi zależy. To takie proste, prawda? Chciałabym znaleźć faceta, z którym mogłabym żyć. Stworzyć trwałą relację, w której będę kochana i sama będę kochać.

Byłaś już kiedyś w takiej relacji?

Przez jeden jedyny rok byłam w zgromadzeniu naprawdę siostrą zakonną. Najlepszy rok mojego życia. Wtedy miałam poczucie, że jestem kochana nie przez jedną osobę, ale przez całą wspólnotę sióstr i że sama mogę kochać. To, co dostawałam, było piękne: zaufanie, wsparcie oraz pomoc. Tak w mojej ocenie powinny wyglądać życie zakonne i siostrzana miłość. To było wyjątkowe. Ale mężczyzn się bałam. Po tym, jak oskarżono mnie o romans, bałam się nawet na nich patrzeć. A jednocześnie modliłam się o to, żeby się zakochać.

Czekaj. Dobrze rozumiem? Siostra zakonna modliła się o to, żeby się zakochać?

Tak. Wiedziałam, że do żadnego zakochania się nie dojdzie, ale chciałam coś poczuć. Chciałam mieć w sobie tę energię, dowód na to, że żyję. I Bóg w sumie spełnił moją prośbę, bo rzeczywiście się zakochałam. Miałam potem nawet wyrzuty sumienia. Ale

SIOSTRY

oddawałam to wszystko Panu Bogu i mówiłam Mu, że to On jest dla mnie tym jedynym. To były tylko emocje, za którymi nie szły żadne decyzje, żaden wybór. Ale już samymi emocjami się cieszyłam. Nie przeżywałam żadnego dramatu, ale rzeczywiście miałam w sobie *power*, o który się modliłam.

I dziś to pragnienie wraca. Chciałabym już nie tylko się zakochać, ale zrealizować to uczucie. Móc się z kimś spotykać. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam, a jestem przekonana, że to jest coś ważnego. Tak, o tym też marzę.

Marzysz o relacji z człowiekiem. A jak wygląda po zakonie twoja relacja z Bogiem? Mówiłaś, że czułaś się przez Niego kochana, że przez miłość Go odkryłaś. Zostało coś z tego?

Przed pójściem do zgromadzenia byłam kimś w rodzaju młodej dewotki skupionej na formie. W zakonie zobaczyłam, że to wszystko jest niepotrzebne. A sama miłość? To, że „Bóg mnie kocha”, stało się sloganem. Codzienność życia z siostrami mocno zniekształciła obraz Boga, który mnie kocha. Miałam wrażenie, że jedyne, czego Bóg ode mnie chce, to cierpienie. Cokolwiek spotykało mnie złego, trudnego, było „wołą Bożą”, miałam „przyjąć cierpienie i ofiarować je Jezusowi”. Jakby On kolekcjonował moje łzy. Wciąż pytałam, dlaczego chce ode mnie tylko tego. Dlaczego zależy Mu, żebym cierpiała jak najwięcej i z tego cierpienia się cieszy. To nie bardzo pasuje do obrazu Boga, który ma być Miłością. Przestałam widzieć Boże miłosierdzie. Życie w zakonie nauczyło mnie, że Bóg nie kocha mnie bezinteresownie – że muszę Go zadowolić swoim cierpieniem, żeby mnie pokochał bardziej.

A modlitwa? Modlisz się jeszcze?

Teraz znów mam czas na modlitwę. To brzmi paradoksalnie, ale kiedy przychodzę po pracy na mszę św., to rzeczywiście ten czas jest wyjątkowy. Jako siostry w formacji mamy wyznaczone godziny modlitwy, które musimy wypełnić. To się staje obowiązkiem – takim samym jak każdy inny. Gubi się poczucie, że robimy coś ważnego, że Bóg czeka na to spotkanie. Starałam się wzbudzać w sobie intencje, myśleć o tym, że to jest istotne, ale mimo wszystko modlitwa prędzej czy później stawała się mechaniczna. Nikomu się nie chciało, ale klepałyśmy ten piąty różaniec, bo matka kazała. A ja się tylko modliłam: „Jezus Maria, chcę już wyjść z tej kaplicy!”.

Jak dziś patrzysz na siostry zakonne?

Tu nie da się generalizować. Każda historia jest inna i każda siostra jest innym człowiekiem. Myślę, że niektóre chcą być wierne słowu, które dały. Złożyły śluby wieczyste i tego się trzymają. Część z nich uważa, że to jest rzeczywiście ich powołanie i droga. Ale są też siostry, które nigdy by się nie zdecydowały na życie zakonne, gdyby wiedziały, jak ono wygląda. Sama takie poznałam. Zostają, bo złożyły śluby, tylko to je tam trzyma. To konsekwencja, nic więcej. Spotkałam siostrę, która wstąpiła po tym, jak owdowiała. Mówiła, że w zgromadzeniu jest dużo trudniej niż w małżeństwie. Są też kobiety, które uważają, że bycie siostrą oznacza bycie kimś lepszym. Traktują wspinanie się w hierarchii jako życiowy sukces, karierę.

Część sióstr trzyma w zgromadzeniu to, że rodzina pokłada w nich nadzieję, więc nie chcą jej zawieść. Część odczuwa strach

SIOSTRY

przed odejściem, przed tym, co ludzie powiedzą, przed koniecznością wzięcia życia we własne ręce. Myślę, że nie bez znaczenia jest też problem z tożsamością, który sama miałam: jeśli nie jestem już siostrą, to kim jestem? Dużo sióstr będzie siebie oszukiwać, że tak jest dobrze, że tak musi być, że to wszystko jest dla Pana Jezusa. One nie podejmują refleksji, unikają tematu. Grają wyznaczone role, dopasowują się do schematów i czekają, że w końcu będzie lepiej. Ale też w końcu psychicznie nie wytrzymują. Spotkałam siostry, które przeszły kryzysy, swoje pustynie. Może nie były szczęśliwe w pełnym tego słowa znaczeniu, ale były przekonane, że zgromadzenie jest ich miejscem. Znałam też takie, które rzeczywiście się w tym spełniały. Ale większość z nich nie wyglądała na szczęśliwe.

Spis treści

Wstęp	5
Prawdziwa miłość. Alicja	9
Nie miałam marzeń. Irena	47
Życie w szufladzie. Magdalena	67
Pustynia. Aleksandra	101
Byle nikt się nie dowiedział. Agnieszka	127
Niewola Boża. Ewa	151
Zawsze tak było. Karolina	173
Wieszak na habit. Natalia	197
Miotła chwali Boga. Olga	225
Praca na cudzym polu. Sandra	249
Życie na pół. Anna Barbara	273
Co słyszy sąsiadka zza ściany	297
Minisłowniczek życia zakonnego	321
Czy grupa, w której jestem, jest sektą? Ankieta	327
Podziękowania	331